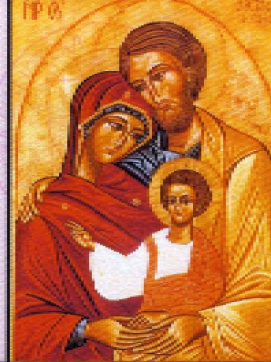


NASZA RODZINA



„BYĆ SOLĄ ZIEMI”



GAZETKA PARAFII NAJŚWIĘTSZEGO SERCA PANA JEZUSA W SANOKU

Nr 13 Marzec 2013



Dziękuję Bogu za pielgrzymkę do Polski na początku mojego pontyfikatu i serdeczne przyjęcie, jakiego doznałem. Mając wielkiego orędownika przed Bogiem, błogosławionego Jana Pawła II, trwajcie mocni w wierze!



Wszystkim Paniom z okazji Dnia Kobiet składamy serdeczne życzenia obfitości Bożych łask na każdy dzień Waszego życia, szacunku, miłości i wdzięczności od najbliższych, oraz docenienia przez bliskich czynionego przez Was dobra.

Życzymy także szczególnej opieki Matki Bożej, tej najwspanialszej Kobiety, którą Bóg dał nam jako wzór do naśladowania i uczenia się od Niej jak należy kochać każdego człowieka i jak należy mu służyć.

Z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego całej Wspólnocie Parafialnej pragniemy złożyć najserdeczniejsze życzenia. Niech dobry Bóg, który pokonał śmierć dodaje Wam siły i mocy każdego dnia do walki ze swoimi słabościami, wadami i grzechem.



Życzymy abyście siłę do tej walki odnajdywali w Eucharystii – z której wychodzimy umocnieni zarówno Słowem jak i Ciałem Chrystusa. Życzymy także abyście byli świadkami Chrystusa w swoich rodzinach, środowiskach i miejscach pracy.

*Spokojnych, rodzinnych świąt
Zmartwychwstania Pańskiego!*

Dziękujemy Ojciec Święty

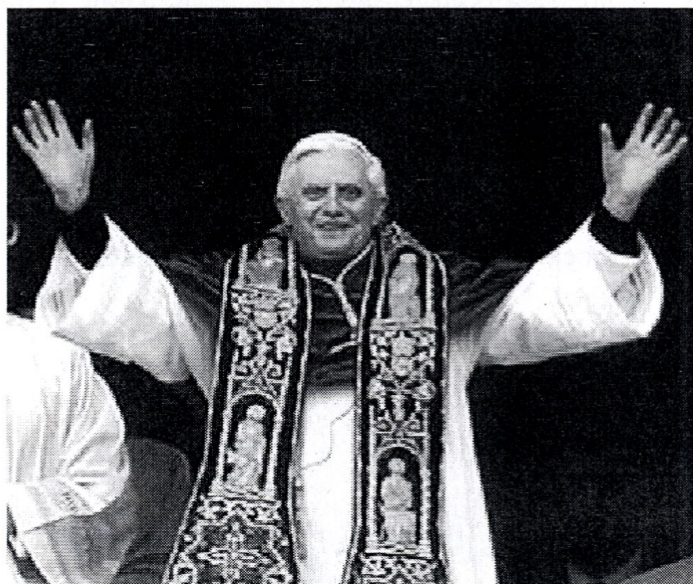
Z uczuciem wielkiego wzruszenia i głębokiego szacunku nie tylko Kościoła, ale cały świat przyjął wiadomość o decyzji Benedykta XVI, by zrezygnować z posługi Biskupa Rzymu i następcy Apostoła Piotra. Wszyscy zrozumieliśmy, że to właśnie głęboka miłość, jaką Papież żywi do Boga i do Kościoła, skłoniła go do tego aktu, ukazując tę czystość duszy, tę solidną i wymagającą wiarę, tę moc pokory i skromności połączonej z wielką odwagą, które wyróżniały każdy krok życia i posługi Ojca Świętego. Z wielką miłością, wzruszeniem i podziwem dziękujemy za to, że Papież dał nam świetlany przykład prostego i pokornego pracownika winnicy Pańskiej, który umiał jednak w każdej chwili realizować to, co najważniejsze - nieść Boga ludziom i ludzi Bogu.

Już podczas inauguracji pontyfikatu Benedykt XVI mówił, iż jego prawdziwym programem jest to, „by nie realizować swojej własnej woli, nie kierować się swoimi ideami, ale wsłuchiwać się z całym Kościołem w słowo i wolę Pana oraz pozwolić się Jemu kierować, aby On sam prowadził Kościół w tej godzinie naszej historii”. Benedykt XVI był papieżem czasów trudnych. Miał świadomość, już na progu swojego pontyfikatu, że Kościół stawać się będzie znakiem, któremu sprzeciwiać się będą coraz mocniej. Czynić to będą struktury, ideologie, systemy, przybierające na sile formy antykultury, które otwierają drogę do moralnego nihilizmu, do negacji wartości, które przez wieki tworzyły ład sumień, do wypychania Boga poza horyzont życia. Nie zrażając się jednak trudnościami, Ojciec Święty wskazywał nam bezustannie na wielkość wiary, która kształtuje człowieka. Uświadamiał, że nie jest ona jakimś znakiem ludzkiej kultury, który się przyjmuje i akceptuje. Jest czymś więcej: ciągłym wezwaniem kierowanym do tych, którzy przez chrzest stają się uczestnikami śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Wskazywał nam, że nasza wiara winna być środowiskiem miłości. Tej, która swą siłę i skuteczność czerpie ze źródła tej miłości największej - objawionej w Jezusowym Sercu na Krzyżu (...).

Ojciec Święty Benedykt XVI przyszedł z pomocą wielu na ich drodze do Jezusa i z Jezusem. Nie tylko przez swoje papieskie nauczanie, także przez książkę, trytomowy cykl Jezus z Nazaretu, medytację o osobie, życiu, drodze Jezusa, o tajemnicy Wcielenia. Ukazywał nam zbawcze znaczenie Kościoła, wspólnoty świętych, ochrzczonych „w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, żyjących darem Ciała i krwi Chrystusa, poprzez który pragnie nas przemienić i uczynić podobnymi sobie”. Słuchaliśmy Jego nauczania podczas audiencji generalnych, uroczystych celebracji, podróży apostołskich, także wyrażanego we właściwych posłudze papieskiej dokumentach: listach apostołskich, adhortacjach, encyklikach.

Na zakończenie swojego pontyfikatu Benedykt XVI powiedział, że czas jego papieskiej posługi „to okres drogi Kościoła, naznaczony momentami radości i światła, ale też momentami niełatwymi. Czulem się jak Piotr i apostołowie w łodzi na Jeziorze Genezaret: Pan dał nam wiele dni słonecznego i łagodnego wiatru, kiedy połów był obfity. Były też jednak czasy, kiedy wody były wzburzone, jak w całej historii Kościoła, ale zawsze wiedziałem, że w tej łodzi jest Pan”. Do naszych modlitw w intencji Benedykta XVI dołączmy modlitwę w intencji tego, który, w godzinach konklawe, usłyszy pytanie Chrystusa, „Czy mnie kochasz”, a w ślad za nim wezwanie: „Paś owce moje!”.

Ks. Andrzej



7 zadań

czyli o co Benedykt XVI

prosi Polaków?

- byście stojąc na ziemi, wpatrywali się w niebo - w Tego, za którym od dwóch tysięcy lat podążają kolejne pokolenia żyjące na naszej ziemi, odnajdując w Nim ostateczny sens istnienia;
- proszę was, byście umocnieni wiarą w Boga, angażowali się żarliwie w umacnianie Jego Królestwa na ziemi, Królestwa dobra, sprawiedliwości, solidarności i miłosierdzia;
- proszę was, byście odważnie składali świadectwo Ewangelii przed dzisiejszym światem, niosąc nadzieję ubogim, cierpiącym, opuszczonym, zrozpaczonemu, łaknącemu wolności, prawdy i pokoju;
- proszę was, byście czyniąc dobro bliźniemu i troszcząc się o dobro wspólne, świadczyli, że Bóg jest miłością;
- proszę was w końcu, byście skarbem wiary dzielili się z innymi narodami Europy i świata, również przez pamięć o waszym Rodaku, który jako następca św. Piotra czynił to z niezwykłą mocą i skutecznością;
- proszę was także, byście pamiętali o mnie w waszych modlitwach i ofiarach, tak jak pamiętaliście o moim wielkim Poprzedniku, bym wypełnił misję powierzoną mi przez Chrystusa.
- proszę was, trwajcie mocni w wierze! Trwajcie mocni w nadziei! Trwajcie mocni w miłości!

*Z homilii podczas Mszy św. na Błoniach
w Krakowie (28 maja.2006)*

O miłości Benedykta

- czyli jak kochać Chrystusa

Chrystus mówi: «Jeśli Mnie miłujecie...» Wiara nie oznacza jedynie przyjęcia określonego zbioru prawd dotyczących tajemnic Boga, człowieka, życia i śmierci oraz rzeczy przyszłych. Wiara polega na głębokiej, osobistej relacji z Chrystusem, relacji opartej na miłości Tego, który nas pierwszy umiłował (por. 1 J 4, 11), aż do całkowitej ofiary z siebie. «Bóg (...) okazuje nam swoją miłość [właśnie] przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami» (Rz 5, 8).

Jak inaczej możemy odpowiedzieć na tak wielką miłość, jeśli nie sercem otwartym i gotowym miłować. Ale co to znaczy miłować Chrystusa? To znaczy ufać Mu również w godzinie próby, podążać za Nim także drogą krzyżową, w nadziei, że niebawem nadejdzie poranek zmartwychwstania.

Powierając się Chrystusowi, nie tracimy nic, a zyskujemy wszystko. W Jego rękach nasze życie nabiera prawdziwego sensu. Miłość do Chrystusa wyraża się w pragnieniu życia zgodnego z myślami i uczuciami Jego Serca. Realizuje się to przez wewnętrzne zjednoczenie, oparte na łasce sakramentów, umacniane przez nieustanną modlitwę, uwielbienie, dziękczynienie i pokutę.

Nie może zabraknąć uważnego wsłuchiwanie się w natchnienia, które On przekazuje nam przez swoje Słowo, *przez osoby, które spotykamy, przez sytuacje z codziennego życia. Miłować Go znaczy prowadzić z Nim nieustanny dialog, aby poznać Jego wolę i gorliwie ją pełnić.*

*Z homilii podczas Mszy św. na placu Piłsudskiego
w Warszawie (26 maja 2006)*

Pontyfikat chrystologiczny

Osobista przyjaźń człowieka z Jezusem stanowi kluczowy temat nauczania Benedykta XVI.

Jest odzwierciedleniem jego trwających wiele dziesiątków lat badań Nowego Testamentu i zorientowania na niemiecką teologię kerygmatyczną. Papież podkreśla nieustannie, że zasadniczą osnową wiary jest spotkanie z osobą Jezusa i miłością Boga do człowieka. Wyraz temu dał m.in. w encyklice „Deus caritas est”, którą rozpoczyna konkluzja: „Uwierzyliśmy miłości Boga – tak chrześcijanin może wyrazić podstawową opcję swojego życia”. Wiara chrześcijańska – mówi dalej Benedykt XVI – uznając miłość jako główną swoją zasadę, przyjęła to, co stanowiło istotę wiary Izraela, a równocześnie nadała temu nową głębię i zasięg. Dla papieża spośród ludzkich słów „miłość” jest słowem najważniejszym. Z faktu, że „Bóg pierwszy nas umiłował”, Benedykt XVI wyciąga wniosek, że „miłość nie jest już przykazaniem, ale odpowiedzią na dar miłości, z jaką Bóg do nas przychodzi”. Motywem podjęcia przesłania miłości jako tematu swojej pierwszej encykliki był dla papieża fakt łączenia niekiedy imienia Bożego z zemstą, czy nawet obowiązkiem nienawiści i przemocy. Miłość Boga wobec człowieka niesie za sobą pytania: kim jest Bóg i kim my jesteśmy. O ile w „Deus caritas est” papież postawił fundamentalne pytanie o Boga, co zostało zauważone w innych Kościołach chrześcijańskich, o tyle odwiedzając 28 maja 2006 r. były obóz koncentracyjny w Auschwitz, poszedł jeszcze dalej i ośmielił się zapytać: „Gdzie był Bóg w tamtych dniach? Dlaczego milczał? Jak mógł pozwolić na tak wielkie zniszczenie, na ten tryumf zła?”.

Różne oblicza miłości

Encyklikę „Deus caritas est” komentowano z zachwytem, także w mediach laickich („żaden papież nie mówił tak – o ile w ogóle mówił – o miłości erotycznej”). Benedykt XVI polemizuje tam z Fryderykiem Nietzsche twierdzącym, jakoby chrześcijaństwo dało erosowi do picia truciznę, a chociaż z jej powodu nie umarł, przerodził się w wadę. Zarzut ten można też sformułować pytaniem: czy Kościół swymi przykazaniem i zakazami nie czyni gorzkim tego, co w życiu

jest najpiękniejsze? Benedykt XVI zaprzecza – przeciwny jest tezie, że chrześcijaństwo zniszczyło eros, jednak, jego zdaniem, potrzebuje on „dyscypliny, oczyszczenia, aby dać człowiekowi nie chwilową przyjemność, ale pewien przedsmak szczytu istnienia, tej szczęśliwości, do której dąży całe nasze istnienie”. Píše: „W rzeczywistości eros i agape – miłość wstępująca i miłość zstępująca – nie dają się nigdy całkowicie oddzielić jedna od drugiej. Im bardziej obydwie, niewątpliwie w różnych wymiarach, znajdują właściwą jedność w jedynej rzeczywistości miłości, tym bardziej spełnia się prawdziwa natura miłości w ogóle. Także jeżeli eros początkowo jest przede wszystkim pożądający, wstępujący – fascynacja ze względu na wielką obietnicę szczęścia – w zbliżeniu się potem do drugiej osoby będzie stawiał coraz mniej pytań o siebie samego, będzie coraz bardziej szukał szczęścia drugiej osoby, będzie się o nią coraz bardziej troszczył, będzie się poświęcał i pragnął «być dla» niej. W ten sposób włącza się w niego moment agape; w przeciwnym razie eros upada i traci swoją własną naturę”.

Encyklika „Deus caritas est” okazała się bestsellerem w kilku krajach. We Włoszech w ciągu roku sprzedano półtora miliona egzemplarzy.

Znakomitym dopełnieniem tej encykliki jest ostatnie orędzie Benedykta XVI na Wielki Post 2013 r., w którym papież jeszcze wyraźniej mówi o związku wiary i miłości, akcentując, że tych cnót nie możemy nigdy rozdzielać czy sobie przeciwstawiać.



W orędziu czytamy: „Obydwie te cnoty teologiczne są ze sobą ściśle związane, i błędem byłoby upatrywanie między nimi sprzeczności lub dialektyki. Z jednej strony bowiem ograniczeniem jest postawa, która kładzie tak silny akcent na pierwszeństwo i decydującą rolę wiary, że nie docenia – i niemal je lekceważy – konkretnych uczynków miłości, sprowadzając ją do ogólnikowego humanitaryzmu. Z drugiej jednak, ograniczeniem jest utrzymywanie przesadnej wyższości miłości i jej działania, i myślenie, że uczynki zastępują wiarę. Dla zachowania zdrowego życia duchowego trzeba wystrzegać się zarówno fideizmu, jak i moralizującego aktywizmu”.

Benedykt XVI myślał o napisaniu encykliki poświęconej wierze, choć planu tego nie udało mu się zrealizować. Można mieć nadzieję, że swoje przemyślenia przekaże w formie książki, która, choć nie będzie już miała waloru dokumentu nauczania oficjalnego Kościoła, stanie się jego „duchowym testamentem”.

Gdy nie ma Boga, nie ma nadziei

Dopełnieniem encykliki o miłości jest analogicznej rangi dokument o nadziei. W encyklice „Spe salvi” (W nadziei zbawieni) papież ukazuje nadzieję w kontekście zbawienia. „Odkupienie zostało nam ofiarowane w tym sensie, że została nam dana nadzieja, nadzieja niezawodna, mocą której możemy stawić czoła naszej teraźniejszości” – czytamy we wstępie do dokumentu. „Jednym z głównych źródeł współczesnego kryzysu wiary – konstatuje papież – jest właśnie utrata tej perspektywy, jaką człowiekowi daje chrześcijańska nadzieja”. Na tę encyklikę Benedykta XVI – ukazującą na nowo człowiekowi źródła nadziei – można spojrzeć także jako na element dyskursu, jaki papież prowadził od początku pontyfikatu ze współczesnym człowiekiem, zagubionym i poszukującym, spragnionym sensu, który umyka jego oczom. Rozumiejąc dylematy i rozterki dzisiejszego człowieka Benedykt XVI przyznaje, że potrzebujemy małych i większych nadziei, które dzień po dniu podtrzymują nas w drodze.

Grzegorz Polak, Krzysztof Tomasik (KAI)

Przemówienie Papieża Benedykta XVI podczas jego ostatniej audiencji generalnej

Drodzy bracia i siostry!

Podobnie jak apostoł Paweł w usłyszanym przed chwilą tekście biblijnym, również ja czuję w sercu, że powinienem podziękować Bogu, który prowadzi Kościół i sprawia, że on rośnie, który sieje swoje Słowo i w ten sposób karmi wiarę swego Ludu. W tej chwili moje serce rozszerza się i pragnę objąć cały Kościół rozproszony po całym świecie. Dziękuję Bogu za „wieści” jakie w tych latach posługi Piotrowej mogłem otrzymać odnośnie do wiary w Pana Jezusa Chrystusa i miłosierdzia, które krąży w ciele Kościoła i sprawia, że żyje on w miłości oraz nadziei, otwierającej nas i ukierunkowującej ku pełni życia, ku ojczyźnie w Niebie. Czuję, że niosę wszystkich w modlitwie, w takiej teraźniejszości, która jest czasem Boga, w której zbieram wszystkie spotkania, każdą podróż, wszystkie wizyty duszpasterskie. Wszystko i wszystkich gromadzą w modlitwie, aby powierzyć ich Panu: abyśmy w pełni poznali Jego wolę, w całej mądrości i duchowym zrozumieniu i abyśmy postępowali w sposób Jego godny, Jego miłości, wydając owoce wszelkich dobrych czynów (por. Kol 1,9-10). Jest we mnie w tej chwili wielkie zaufanie, bo wiem, każdy z nas wie, że Słowo Prawdy Ewangelii jest siłą Kościoła, jest jego życiem. Ewangelia oczyszcza i odnawia, przynosi owoce, gdziekolwiek wspólnota wierzących je słyszy i przyjmuje łaskę Bożą w prawdzie i żyje w miłości. To jest moja ufność, to jest moja radość.

Kiedy 19 kwietnia, niemal osiem lat temu, zgodziłem się przyjąć posługę Piotrową, silna była ta pewność, która mi zawsze towarzyszyła. W tym momencie, jak już wielokrotnie mówiłem, w moim sercu rozbrzmiewały następujące słowa: Panie czego ode mnie żądasz? Na moje ramiona nakładasz wielki ciężar, ale jeśli tego ode mnie żądasz, na Twoje słowo zarzucę sieci, będąc pewnym, że Ty mnie będziesz prowadził. A Pan mnie naprawdę prowadził, był blisko mnie, każdego dnia mogłem odczuwać Jego obecność. Był to okres drogi Kościoła, naznaczony momentami radości i światła, ale też momentami niełatwymi. Czuję się jak Piotr i apostołowie w łodzi na Jeziorze Galilejskim.

Pan dał nam wiele dni słonecznych i łagodnego wiatru, dni, kiedy połów był obfity. Były też jednak czasy, kiedy wody były wzburzone, jak w całej historii Kościoła, ale zawsze wiedziałem, że w tej Łodzi jest Pan i zawsze wiedziałem, że Łódź Kościoła nie jest moja, nie jest nasza, lecz Jego. To On ją prowadzi, rzecz jasna także poprzez ludzi, których wybrał, bo tak zechciał. Taka była i jest pewność, której nic nie może przysłonić. Właśnie z tego powodu moje serce jest dziś wypełnione dziękczynieniem wobec Boga, gdyż sprawił, że nigdy nie brakowało całemu Kościołowi a także i mnie Jego pociechy, Jego światła, Jego miłości. Przeżywamy Rok Wiary, którego pragnąłem, właśnie po to, aby umocnić naszą wiarę w Boga w kontekście, który zdaje się stawać Go coraz bardziej na drugim planie. Chciałbym zachęcić wszystkich do odnowienia mocnego zaufania w Panu, by powierzyć się jak dzieci w ramiona Boga, będąc pewnymi, że ramiona te zawsze nas wspierają i są tym, co pozwala nam kroczyć każdego dnia nawet w utrudzeniu. Chciałbym, aby każdy czuł się miłowanym przez tego Boga, który dał swego Syna za nas i ukazał nam swoją miłość bez granic. Chciałbym, aby każdy poczuł radość bycia chrześcijaninem. W pięknej modlitwie, którą należy odmawiać codziennie rano mówimy: „Uwielbiam Cię, o mój Boże i kocham Cię z całego serca. Dziękuję Ci, żeś mnie stworzył, chrześcijaninem uczynił...”. Tak, jesteśmy szczęśliwi z powodu daru wiary. Jest to najcenniejsze dobro, którego nikt nie może nam zabrać! Dziękujemy za to Bogu każdego dnia, przez modlitwę i konsekwentne życie chrześcijańskie. Bóg nas miłuje, ale oczekuje, że także i my Go będziemy kochali!

W tej chwili pragnę jednak nie tylko podziękować Bogu. Papież nigdy nie jest sam kierując łodzią Piotra, nawet jeśli jest to jego podstawowa odpowiedzialność. Ja nigdy nie czułem się sam w niesieniu radości i ciężaru posługi Piotrowej. Pan postawił u mego boku wiele osób, które z wielkodusznością i umiłowaniem Boga i Kościoła, pomagały mi i były mi bliskie. Nade wszystko was, drodzy Bracia Kardynałowie: cenne dla mnie były wasza mądrość, rady, wasza przyjaźń. Moich współpracowników, począwszy od mojego Sekretarza Stanu, który towarzyszył mi wiernie w tych latach.

Sekretariat Stanu i całą Kurię Rzymską a także tych wszystkich, którzy w różnych dziedzinach, wypełniają swoją posługę dla Stolicy Apostolskiej. Jest tak wiele twarzy, których nie widać, które pozostają w cieniu, ale właśnie w ciszy, w codziennym poświęceniu, w duchu wiary i pokory byli dla mnie pewnym i niezawodnym wsparciem. I wreszcie, Kościół Rzymu, moją diecezję, jak również cały Lud Boży. Podczas wizyt duszpasterskich, spotkań, audiencji, podróży zawsze dostrzegałem wielką cześć i głęboką miłość. Ale także i ja was miłowałem wszystkich i każdego, bez różnicy, tą miłością duszpasterską, która jest sercem każdego pasterza, a nade wszystko Biskupa Rzymu, Następcy Apostoła Piotra. Każdego dnia każdego z was obejmowałem swoją modlitwą, jak ojciec. Chciałbym, aby moje pozdrowienia i podziękowania dotarły też do wszystkich: serce papieża poszerza się na cały świat. Chciałbym wyrazić moją wdzięczność korpusowi dyplomatycznemu akredytowanemu przy Stolicy Apostolskiej, uobecniającemu wielką rodzinę narodów. Myślę też w tym miejscu o tych wszystkich, którzy pracują na rzecz dobrej komunikacji i którym dziękuję za ich doniosłą służbę. W tym miejscu chciałbym podziękować z całego serca także tym wszystkim, tak licznym na całym świecie, którzy w ostatnich tygodniach przysyłali mi wzruszające wyrazy bliskości, przyjaźni i modlitwy.



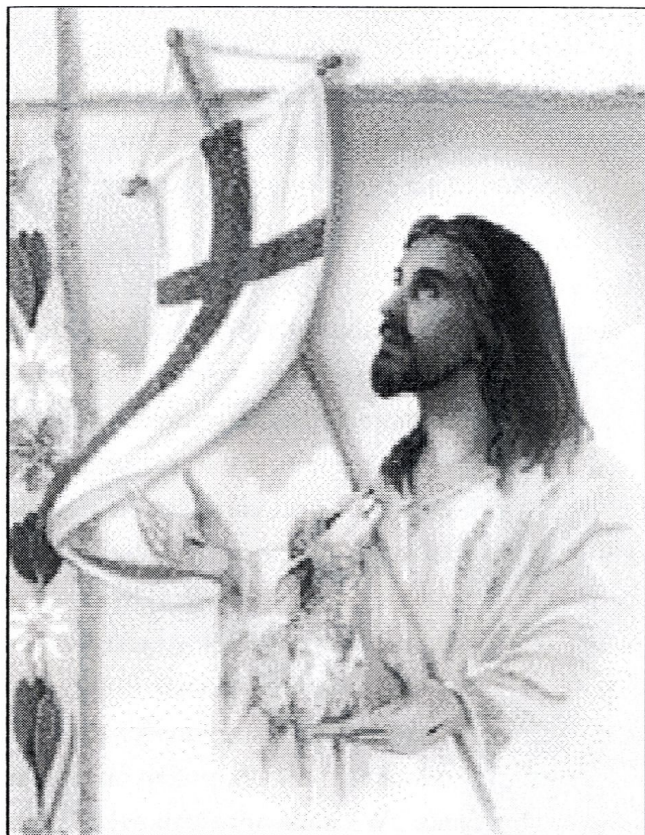
Tak, Papież nigdy nie jest sam, teraz ponownie tego doświadczam w sposób tak mocny, że porusza serce. Papież należy do wszystkich i tak wielu czuje się jemu bliskich. Prawda, że otrzymuję listy od wielkich tego świata – szefów państw, zwierzchników religijnych, przedstawicieli świata kultury i innych. Ale dostaję także mnóstwo listów od ludzi prostych, którzy piszą od serca i dają mi odczuć swoje uczucie rodzące się z bycia blisko Jezusa Chrystusa, w Kościele. Te osoby nie piszą do mnie, jak się pisze np. do księcia czy innej osobistości, której się nie zna. Piszą do mnie, jak bracia i siostry, bądź jak synowie i córki, z poczuciem rodzinnej więzi pełnej uczucia. Tu można namacalnie doświadczyć, czym jest Kościół. To nie jakaś organizacja czy stowarzyszenie o religijnych czy humanitarnych celach, ale żywe ciało, komunია braci i siostr w Ciele Jezusa Chrystusa, które jednoczy wszystkich. Doświadczyć Kościoła w taki sposób i móc niemal dotknąć mocy jego prawdy i miłości do wielka radość w czasie, w którym wielu mówi o jego schyłku. W ciągu tych ostatnich miesięcy, odczułem, że moja siły osłabły i nieustannie prosiłem Boga na modlitwie, aby oświecił mnie swoim światłem, żebym podjął najważniejszą decyzję, nie dla mego dobra, ale dla dobra Kościoła. Podjąłem ten krok z pełną świadomością jego wagi, a także nowatorstwa, ale z głębokim pokojem ducha. Umiłowanie Kościoła oznacza także odwagę, by podejmować trudne wybory, bolesne, mające zawsze na względzie dobro Kościoła, a nie samych siebie. Tu pozwólcie mi powrócić jeszcze raz do 19 kwietnia 2005 r. Ciężar decyzji wynikała z faktu, że od tej chwili byłem już oddany naprawdę na zawsze Panu. Na zawsze – kto podejmuje się posługi Piotrowej, nigdy nie będzie miał prywatności. Należy zawsze i całkowicie do wszystkich, do całego Kościoła. z jego życia, by tak rzec, znika całkowicie wymiar prywatny. Mogłem doświadczyć, i doświadczam tego właśnie teraz, że tylko ten, kto daje swe życie, ten je otrzymuje. Powiedziałem już, że wielu ludzi, którzy kochają Pana Boga, kochają również następcę św. Piotra i są doń przywiązani. Papież ma rzeczywiście braci i siostry, synów i córki na całym świecie i czuje się bezpiecznie w ich wspólnotach, bo nie należy już do siebie samego, należy do wszystkich i wszyscy należą

do niego. „Zawsze” oznacza również „na zawsze” – nie można już powrócić do prywatności. Moja decyzja o rezygnacji z czynnego wypełniania posługi nie odwołuje tego. Nie powracam do życia prywatnego, do życia złożonego z podróży, spotkań, przyjęć, konferencji itd. Nie porzucam krzyża, lecz pozostaję w nowy sposób przy ukrzyżowanym Panu. Nie sprawuję już dłużej władzy nad Kościołem, lecz w posłudze modlitwy pozostaję, by tak rzec, w otoczeniu św. Piotra. Św. Benedykt, którego imię noszę jako Papież, będzie w tym dla mnie wielkim wzorem. On wskazał nam drogę życia, które czynne czy bierne, należy całkowicie do dzieła Boga.

Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna, także za poszanowanie i zrozumienia, z jakimi przyjęliście tę tak ważną decyzję. Będę wam towarzyszył na drodze Kościoła przez modlitwę i refleksję, przez to poświęcenie Panu i Jego Oblubienicy, jakim starałem się żyć dotychczas każdego dnia i którym chcę żyć zawsze. Proszę was, abyście o mnie pamiętali przed Bogiem, a przede wszystkim, abyście się modlili za kardynałów, którzy zostali powołani do tak ważnego zadania oraz za nowego Następcę Piotra: niech Pan mu towarzyszy światłem i mocą swego Ducha. Przyzywajmy macierzyńskiego wstawiennictwa Maryi Panny, Matki Boga i Kościoła, aby towarzyszyła każdemu z nas i całej wspólnotie kościelnej. Jej się powierzamy z głęboką ufnością. Drodzy przyjaciele! Bóg kieruje Kościołem, zawsze go wspiera, a w szczególności w najtrudniejszych chwilach. Nigdy nie możemy stracić tej perspektywy wiary, która jest jedyną prawdziwą perspektywą drogi Kościoła i świata. W naszym sercu, w sercu każdego z was niech będzie zawsze radosna pewność, że Pan jest obok, nigdy nas nie opuszcza, jest blisko nas i ogarnia nas swoją miłością. Dziękuję!



Zobaczyć Zmartwychwstanie



Zmartwychwstania możemy doświadczać już dziś, gdyż wiemy, że ceną grzechu jest śmierć. Uczniowie, wchodząc do ciemnego grobu, zobaczyli coś, co ich przekonało o zmartwychwstaniu. Sam widok pustego grobu to za mało, by przekonać się o pokonaniu śmierci. Musieli zobaczyć coś wyjątkowego. Ujrzeni leżące płótna oraz oddzielnie zwiniętą chustę, która była na Jego głowie. Nie chodziło o to, że idea życia zmartwychwstała w ich świadomości i zdali sobie sprawę z tego, że w ich pamięci Jezus nigdy już nie umrze. Ani o to, że Jezus przetrwał letarg, ani o jakiś sprzeczny z zasadami logiki etap reinkarnacji. Musieli zobaczyć coś dokumentującego autentyczne zmartwychwstanie!

Przypomnijmy, że Łazarz, po wskrzeszeniu, nie mógł się uwolnić od tkanin, którymi był szczelnie obwiązany i które go krępowały – potrzebował pomocy świadków wskrzeszenia. Jezus nie przebudził się z powodu zimna albo z powodu silnej struktury organizmu. Po śmierci Jezusa Nikodem przyniósł wonności – mieszaniny aloesu i mirry. Każdy zwój był posypany sproszkowanymi wonnościami. Gdyby płótna zostały odwinęte i zrzucone, wonności rozsypałyby się. Płótna byłyby rozwinięte, chusta z głowy byłaby rozwiązana.

Tekst grecki delikatnie sugeruje, że płótna pozostały nierozwiązane – ciało z nich po prostu... wypromieniowało. Właśnie to od razu zauważyli uczniowie! Ciało znikło, nie naruszając szczelnie i dokładnie zawiniętych płócien. Uczniowie zobaczyli też syndarion – chustę zwiniętą, co można zrozumieć, że zachowała kształt głowy, pozostając jakby pustym „opakowaniem”! To musiało zrobić na nich ogromne wrażenie. Było to tak jednoznaczne, że nie analizowali znaleziska, tylko po prostu uwierzyli. Wszystko, co zastali, wskazywało na cud.

Mamy więc autentyczną relację z tamtego wydarzenia, która przemawia do nas i do naszej wiary w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Jest też zapowiedzią naszego powstania z grobów. Zmartwychwstania możemy doświadczać już dziś, gdyż wiemy, że ceną grzechu jest śmierć. Pozbawiając się grzechów w demaskującej spowiedzi, już pokonujemy krępujące nas, jak owe płótna, konsekwencje śmierci, z których możemy się wyzwolić. Dzieje się tak tylko dzięki temu, że On, Światłość tego świata, wyszedł z grobu bez przeszkód. Zmartwychwstanie nie było więc reanimacją trupa, jak w przypadku Łazarza.



Zmartwychwstanie nie jest kontynuacją życia, lecz przemianą. Chrystus jest dotykalny, o czym przekonał się Tomasz, nawet zajada rybę z uczniami, ale jest to Chrystus inny. Marek pisze o „innej postaci” (Mk 16,2). Maria Magdalena też nie mogła Go od razu poznać. Ten Nowy Jezus wymyka się czasowi i przestrzeni, choć w tych wymiarach się pojawia. Jest obecny i nieobecny zarazem. Jest tu i jednocześnie gdzie indziej.

Dlaczego Zmartwychwstały objawia się tylko wierzącym w Niego, choć ciągle niedowierzającym w zmartwychwstanie? Dlaczego nie pokazał się Kajfaszowi albo Piłatowi? Dlaczego pomija tysiące ateistów i wyśmiewających się z Niego? Dlaczego nie zobaczył go Richard Dawkins? Odpowiedź jest prosta: z szacunku dla ludzkiej wolności. Zmartwychwstały nie narzuca się, nie zmusza do uznania Go za zwycięzcę śmierci. Nie prowadzi kampanii reklamowej królestwa niebieskiego. Nie organizował wieców, nie pisał manifestów. Kto chce, ten wierzy, kto nie chce, nie wierzy. Nie ukazał się cesarom z Rzymu, ani filozofom z Aten, tylko tym, którym już dał załazek wiary. Ukazywał się tym, którzy już wierzyli, co prawda niedoskonale, ale Bóg nie wymaga od nas doskonałości, tylko gotowości, oddania, zawierzenia. Zmartwychwstanie nie przymusza do wiary, to raczej wiarą dostrzega się Zmartwychwstałego. Wiara jest jedyną możliwością dostrzeżenia Chrystusa zmartwychwstałego. Jeśli wierzysz choć trochę, to zobaczysz.

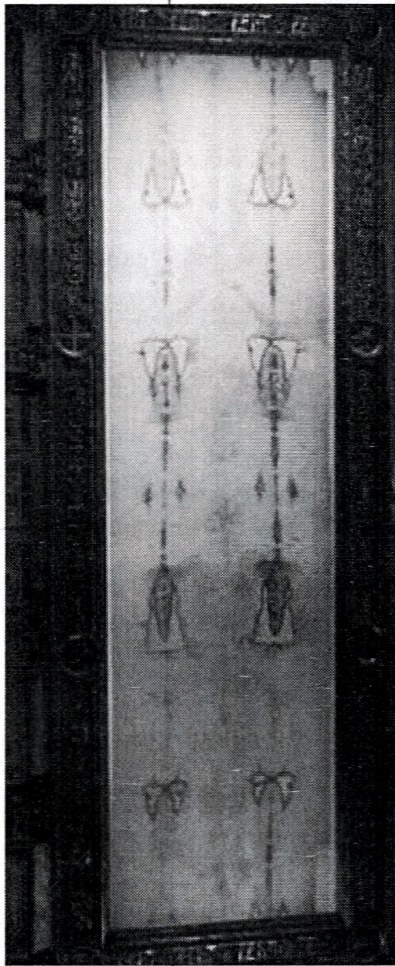
Sakramenty są równie skromne jak zmartwychwstanie. Kto chce, ten wierzy. Kto wierzy, ten dostrzega w nich Chrystusa. Są cichym głosem Boga, wołającego nas po imieniu. Sakrament Eucharystii daje nam łatwy dostęp do Jego życia i zmartwychwstania, silniejszego niż śmierć. Nie trzeba wspinać się na Himalaje ani lecieć na Marsa, by przezwyciężyć śmierć i dostąpić udziału w życiu Boga. Wystarczy spożyć kawałek chleba, wyznawszy uprzednio swoje grzechy.

opr. H.L.

CAŁUN TURYŃSKI - ŚWIADEK ZMARTWYCHWSTANIA.

„Święty Całun, szczególny Świadek – jeżeli przyjmujemy argumenty wielu uczonych – Paschy: Męki, Śmierci i Zmartwychwstania, Świadek milczący, lecz jednocześnie zaskakująco wymowny.”

Papież Jan Paweł II



Całun jest utkany splotem bardzo rzadko spotykanym w Europie, powszechnie zaś znanym w starożytnym Egipcie, Syrii i Judei. Jest to droga tkanina w którą nie owijano każdego skazańca. Józefa z Arymatei, człowieka zamożnego, było stać na taki materiał. Płótno jest najpierw utkane, potem dopiero wybielone. Taką kolejność czynności stosowano do około VIII w., potem ją odwrócono. W lnianych włóknach Całunu brak jest śladów wełny, co wskazuje na tradycję żydowską, która zabraniała łączenia elementów roślinnych ze zwierzęcymi. Religia żydowska nakazywała palenie materiałów, w które owinięty był zmarły. To, że Całun ocalał, wskazuje, że z jakichś nadzwyczajnych powodów odstąpiono od tego religijnego nakazu. Takim powodem mogło być Zmartwychwstanie. Tkanina jest fragmentem większej części: posiada wyraźne ślady cięcia. Płótno jest zażółcone wskutek upływu czasu i te zmiany postępują, zwłaszcza na skutek badań, m.in. promieniami ultrafioletowymi czy rentgenowskimi.

„Był to wizerunek tak wyrazisty, że skamieniałem” – przyznał po wywołaniu klisz pierwszy fotograf Całunu Turyńskiego, włoski adwokat Secondo Pia. Było to w 1898 r. Pierwsze fotografie Płótna – a właściwie ich negatywy zmieniły wiele. Okazało się wówczas, jak szczegółowy i wyraźny jest wizerunek Boga na płótnie sprzed 2000 lat. Secondo, znany ze swej fotograficznej pasji, naświetlał klisze przez 14 i 20 minut.

Gdy zaczął je wywoływać w ciemni, w pewnym momencie na płycie ujrzał – jako pierwszy człowiek w historii – wyraźne oblicze umęczonego Jezusa Chrystusa.

Potem jako pierwszy zaczął sobie zadawać pytania, na które do dzisiaj, mimo zaangażowania najwybitniejszych naukowców, nie znamy odpowiedzi. Jak powstał Całun Turyński? Co sprawiło, że wizerunek Jezusa jest tak wyrazisty i zawiera tyle informacji? Do czasów pierwszego wizerunku negatywowego odpowiedź była prosta: na lnianym płótnie, w które owinięto Chrystusa po złożeniu do grobu odcisnął się Jego niewyraźny wizerunek, co jest możliwe do wytłumaczenia. Jednak negatyw przyniósł tysiące nowych szczegółów, tak porażająco precyzyjnych i tak zagadkowych! Każdy centymetr kwadratowy Płótna zawiera dziesiątki informacji. Ich odkrywanie jest fascynującą podróżą w czasie, ale przede wszystkim jest drogą we wzrastaniu w wierze. Bo zgodność z Ewangelią informacji, które można wydobyć z Całunu jest niemożliwa do zignorowania. Badacze studiują coraz to dokładniejsze fotografie Płótna, odkrywając coraz to nowe zagadki. Tworzą kolejne określenia, próbując przybliżyć metodę powstania wizerunku. „Obraz jak z aparatu fotograficznego, ale zdolnego uchwycić efekt trójwymiarowy” - mówią jedni. Inni zauważają, wizerunek jest „położony” na płótnie – gdyż nie widać na nim żadnej kierunkowości, która by być musiała, gdyby był on formą malowidła czy rysunku. Każdy twórca, niezależnie jakiego narzędzia by użył, czy byłby to pędzel, ołówek czy nawet opuszki palców, musiałby ujawnić charakterystyczne dla siebie ułożenie dłoni, kąt nachylenia ręki. Tego na Całunie nie ma. Nie ma też na nim żadnych barwników, ani mineralnych, ani roślinnych. Nie znaleziono ich przy badaniu Płótna zarówno promieniami Rentgena, jak i ultrafioletowymi. Za pomocą rozpuszczalników próbowano wyodrębnić jakikolwiek barwnik. Nie udało się, a przecież dałoby się to zrobić w przypadku każdego znanego barwnika, nawet każdej plamy. Żółtawy kolor odbicia nie został wyodrębniony: kolor Całunu to z punktu widzenia chemicznego brak koloru. Stwierdzono też, że odbicie dotyczy tylko samej powierzchni włókien, nie wniknęło w głąb w głąb tkaniny. Kolejną zagadką jest sposób, w jaki Ciało zostało

wyjęte z Całunu. Nie widać na Płótnie śladu oderwania ciała od lnu nasiąkniętego zaschniętą krwią. W jaki sposób Chrystus opuścił Całun nie naruszając jego struktury? Jak to możliwe, by Człowiek, który przeszedł tak niewyobrażalne cierpienia zachował tak porażający spokój, a Jego twarz tchnęła dostojeństwem i godnością? Odpowiedzi należy szukać w tym, że Człowiek z Całunu był jednocześnie Bogiem. Z twarzy odbitej na Całunie bije „straszliwe piękno” - jak to określił znany katolicki pisarz Daniel Rop. Trudno się z nim nie zgodzić.

Los Całunu Turyńskiego to historia sensacyjna, obfitująca w wydarzenia, które działy się „pod osłoną nocy” i „w tajemnicy”. To także wojny, oblężenia, zamurowanie w fortyfikacjach miasta, gotowanie w gorącym oleju i pożary. To, że Całun przetrwał do naszych czasów, jest samo w sobie cudowne. Za jego wywiezienie z Konstantynopola groziła kara śmierci. W XVI wieku bezcenna Relikwia została ukryta pod habitem kanonika Andrei Costy, który schowawszy Całun przed prześladowcami upił ich piemonckim winem. W 1356 r. rozpoczyna się udokumentowana historia Całunu. Był on wówczas własnością Gotfryda de Charny z Lirey we Francji. W latach 1357-1370 odbyły się pierwsze pokazy Całunu w Lirey. W 1532 w wybuchł pożar w kaplicy w Sainte Chapelle, wzniesionej specjalnie dla Całunu na zamku księcia Amadeo IX, późniejszego błogosławionego. Cudownie ocalał. Stopione w wysokiej temperaturze srebro, z którego wykonany był relikwiarz, spadło na tkaninę. Naoczny świadek pożaru, baron sabaudzki Pingone, powiedział wówczas: „Zaiste, wszyscyśmy to jasno widzieli i zdumieli się” - gdyż do dziś trudno wytłumaczyć, jak len nie spłonął w temperaturze, w której topniał metal. W 1578 r. Całun został przeniesiony do Turynu we Włoszech, a w 1694 r. został umieszczony w specjalnie zaprojektowanej Kaplicy Świętego Całunu w Katedrze Turyńskiej. W latach 70. ubiegłego stulecia pięciokrotnie próbowano podpalić Świętą Relikwię. Sataniści przedostawali się przez okienko do kaplicy, by sprawować „czarne msze”. Na początku lat 90. złodzieje próbowali otworzyć kuloodporną gablotę z Całunem by ją ukraść. Ostatni pożar, któremu można było zapobiec miał miejsce w 1997 r.

Z tego dramatu na szczęście Całun wyszedł bez szwanku. Obecnie jest przechowywany w sarkofagu przykrytym kuloodporną i przeciwoodpryskową szybą, która chroni go przed promieniami ultrafioletowymi. W sarkofagu panują optymalne, ściśle określone warunki. I temp. 18 stopni Celcjusza. Kaplicy strzegą przez całą dobę strażnicy. Wśród czcicieli Całunu Turyńskiego są i święci, i papierze, i profesoria. Są też zwyczajni ludzie, którzy w czasie każdego wystawienia tłumnie nawiedzają Relikwię. 24 maja 1998 r. przed Całunem modlił się papież Jan Paweł II. Ojciec Święty powiedział wtedy: „Całun jest obrazem milczenia. Istnieje milczenie tragiczne, które oznacza niemożność porozumienia i które najpełniej wyraża się w śmierci, ale jest też milczenie płodne zachowywane przez tych, którzy postanawiają zamilknąć na zewnątrz, aby dotrzeć do ukrytych w głębi korzeni prawdy i życia. Całun wyraża nie tylko milczenie śmierci, ale także odważne i owocne milczenie, które pozwala wyjść poza rzeczywistość przemijającą i dołączyć dzięki całkowitemu zanurzeniu się w wiecznej teraźniejszości Boga. Całun staje się w ten sposób wzruszającym świadectwem prawdy, że miłosierna wszechmoc Boga nie zatrzymuje się przed żadną złą mocą, ale przeciwnie – potrafi skierować ku dobru nawet moc zła. Nasza epoka musi na nowo odkryć płodność milczenia, aby uwolnić się od zgiełku dźwięków, obrazów i próżnych rozmów, które zbyt często nie pozwalają nam usłyszeć głosu Boga”.

Marzeniem większości wierzących w Chrystusa jest choć raz w życiu ujrzeć oryginał Całunu – Świętej Relikwii naszego Zbawiciela. Niestety nie każdy z nas może odbyć tak daleką pielgrzymkę. Ci, którym choroba, brak czasu czy środków nie pozwalają na wyjazd do Turynu, mogą obejrzeć kopię Relikwii. W kościołach w Polsce znajduje się prawie dwadzieścia replik Całunu, m.in. w Krakowie, Kaliszu, Katowicach, Lublinie, Licheniu, Gdańsku i Warszawie.

Halina Martowicz

Łaska upomnienia

Abba Theskelos powiedział: „usprawiedliwić pobłażliwością, to nienawidzić czyjegoś zbawienia”. Miłość nie wyrządza zła, a wystarczy nie upomnieć kogoś, by pozwolić na duchową korupcję czyjegoś istnienia. Większym złem może być to, że nie mówi się komuś prawdy i udaje, że wszystko jest w porządku, niż to zło, w którym ktoś się pogryzął. Czy zdarzyło ci się podczas spaceru z żoną po galerii nie reagować na jej dziurawe pończochy, brudne włosy czy szpetnie rozdartą koszulę? Czy pozwoliłabyś wyjść swojemu mężowi do kina, widząc, że włożył dwie różne szaliki, do tego dziurawe, w marynarce z niewybaczalną plamą po oleju? Jeśli na takie rzeczy nie jesteśmy obojętni, to tym bardziej nie powinniśmy bagatelizować „plam” sumienia i „dziur” na duszy! Upomnienie czy też korekta nie powinny kogoś zawstydząć, ale zwracać mu szacunek. Miłość jest troską o czyjąś godność, a to wymaga niekiedy dyskretnej uwagi, tak by upominający nie szukał w tym wywyższenia. Miłość nie karmi dla własnego triumfu, lecz dla podniesienia kogoś z klęski. Upominany zaś, zamiast gwałtownie reagować, powinien przyjąć upomnienie z pokorą. Jakże o nią trudno, gdy własna duma i egoizm stawia nas na własnym świeczniku świętości.

Sam i Jafet weszli do namiotu pijanego Noego odwróciwszy tyłem, i nie spoglądając, przykryli jego nagość płaszczem. Za ten przepiękny gest zostali wynagrodzeni błogosławieństwem. Cham nie tylko przyglądał się, ale też rozgłosił poniżającą wieść o ojcu. Jeśli już kogoś poprawiać, to najlepiej tak, by nie zawstydzic. Upominać to wchodzić w atrybut Boga, którym jest sąd, to bardzo niebezpieczne położenie dla człowieka. O wiele bezpieczniej jest uczestniczyć w atrybucie miłosierdzia, ale ono nigdy nie jest pobłażaniem, czy przyzymkaniem oczu na fatalne położenie bliźniego.

Opr. H.L.

Plecy Boga

W świecie Boga służba jest zaszczytem. Bóg stał się sługą, aby ludzie stali się panami wieczności. W naszym świecie mówi się, że ktoś ma plecy, kiedy może dużo załatwić dla siebie dzięki komuś innemu. W świecie Boga jest zupełnie odwrotnie. Jezus jest arcykapłanem, ale też sługą cierpiącym, zmiażdżonym i udręczonym, dźwigającym nasze nieprawości, jak służący, który idzie za panem z bagażami wypełnionymi jego brudnymi ubraniami. Bóg stał się sługą, aby ludzie stali się panami wieczności. Każdy, kto chce panować w wieczności, na tym świecie musi służyć, poświęcać się, dźwigać ciężary innych na plecach, pić to, co inni „nawarzyli”. Ten, kto jest kimś na tym świecie, będzie niczym na tamtym. W Misznie jest napisane, że zdrowie, pożądanie i pragnienie zaszczytów wypędzają człowieka nawet z tego świata. Służba jest zaszczytem w świecie Boga. Owszem, nie czujemy wyniesienia, gdy się unizamy, służąc Bogu i ludziom, bo na tym świecie nie ma nagrody, która byłaby odpowiednia i w pełni wynagradzająca nasze poświęcenie. Świat jest zbyt mały, by zmieścić taką nagrodę, więc jej tutaj nie doznajemy! Służba Jezusa sięgnęła szczytu, kiedy dźwigał krzyż. Wtedy wziął za nas bagaż naszych grzechów na swoje plecy, wykpiwany przez tych, których sumienia uwalniał od winy.

Jezus też ma plecy. W naszym świecie ma się plecy tylko dla znajomych, w świecie Boga Jezus służył swoimi plecami nawet wrogom! Zapewnił im najlepsze stanowiska w niebie! Kim bowiem był Szaweł, kiedy prześladował chrześcijan? Kim stał się dzięki biczowanemu plecom Jezusa? Szczytem służby jest dać swoje życie jak na okup za innych, i to umrzeć za tych, którzy nas zabijają. Taką służbę możesz znaleźć w swoim małżeństwie, gdy zabijają słowa współmałżonka, a ty słowami modlitwy prosisz o jego zbawienie. Taką służbę możesz znaleźć, gdy znosisz kogoś przykrego, zanosząc swoją ofiarę do Boga właśnie po to, by zanieść na plecach modlitwy tę osobę do raju. Podobnie jak doznawanie dobra może uczynić nas złymi, tak znoszenie zła czyni nas niekiedy dobrymi. Najpiękniejszą służbą jest taka, która nie zobowiązuje do wdzięczności osoby, której czyni się dobro, czyli taka, w której lewica nie

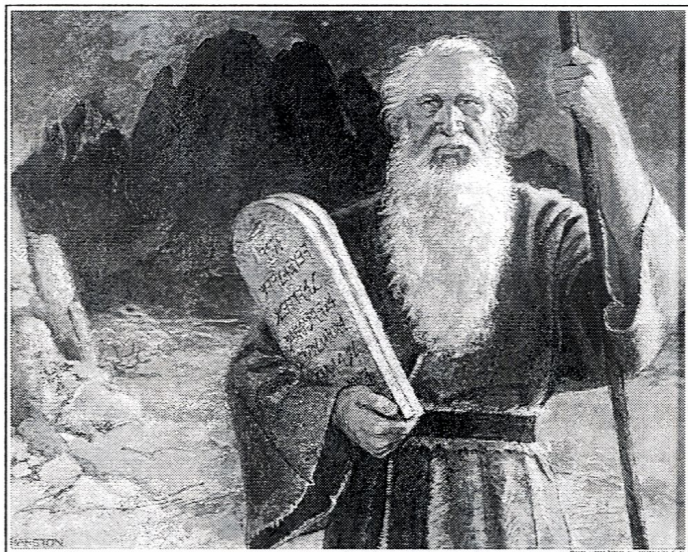
wie, co czyni prawica. Kiedy kogoś informujemy, że za niego bardzo się modlimy, pozbawiamy się nagrody u Boga i zniewalamy kogoś wdzięcznością. Nie dziwię się, że Jezus wspomina w tym kontekście o kielichu. To wskazuje na związek z tajemnicą Eucharystii. Na każdej Mszy modlimy się do Jezusa, słowami wypowiedzianymi przez kapłana, aby moje ciało ukrył w swojej Hostii. Pewien zakonnik podzielił się tym, że modli się też za tych, których imiona ma wypisane na swoim ciele. To taka prywatna modlitwa w duchu. Kiedyś na Mszy zdał sobie sprawę, że tymi, których imiona nosi na swoim ciele, są jedynie ci, którzy go jakoś zranili. Wówczas odczuł ulgę, wręcz szczęście. Oni nawet nie wiedzieli, że się za nich modlił, i to bardziej niż za tych, których kochał.

Moje bliźni serca to imiona tych, którzy zadali mi rany. Nic tak bardzo jak Eucharystia nie daje szansy, by kochać nieprzyjaciół piękniejszą miłością niż przyjaciół. To jest właśnie służba bliźnim, czyli tym, którzy bliźnimi stali się przez bliźni.

Opr. H.L.



Kto wieszczy klęskę zapowiada triumf



To, co wydarzyło się z Głową Kościoła, czyli z samym Chrystusem, zdaje się, że musi spotkać również całe Ciało, czyli Kościół. Mojżesz, jak mówi Biblia, został porzucony przez matkę w rzeczonym sitowiu, w koszu. Wszystko wskazywało na beznadziejność jego położenia i zapewne matka, która go wrzuciła do Nilu, spodziewała się już tylko cudu, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien iść na dno. Byłby zapewne tam utonął. Po wielu latach ten sam Mojżesz przeprowadził dnem wiele tysięcy ludzi. Miejsce, w którym tego dokonał, nazywało się JAM SUF, czyli wody sitowia. To, co sam przeżył, stało się przeżyciem całego Izraela. Jeremiasz, zanim powiedział, że Sedecjasz pogrzeże się w błocie, sam spędził jakiś czas w cysternie wypełnionej błotem. Jeśli chwile osądu Chrystusa przez Piłata, a potem Jego śmierci i pogrzebania były chwilami bezpośrednio przygotowującymi zmartwychwstanie i triumf nad śmiercią, grzechem i szatanem, to niewykluczone, że czas głoszenia śmierci Boga, śmierci chrześcijaństwa, pogrzebania wiary, zamknięcia kościołów, wyrzucenia krzyży i usunięcia słowa „Bóg” z wszelkich konstytucji będzie znakiem zapowiadającym zmartwychwstanie i triumf całego chrześcijaństwa, czyli Nowego Izraela. Razem z Piłatem stoją więc w szeregu Wolter, Nietzsche, Freud, Marks, Sartre i wszyscy, którzy osądzili chrześcijaństwo jako przegrane i jako zjawisko zamierające w dziejach.

Byli i tacy, którzy nie tylko osądzili, ale też wykonywali totalitarne wyroki, wysadzając w powietrze świątynie albo umieszczając naczynia liturgiczne w muzeach ateizmu. Są i tacy, którzy traktują Kościół jak cementarz. Inni wyśmiewają najmniejsze przejawy religijności chrześcijańskiej albo fałszują Kościół przez wymyślanie zakodowanych filmowo bzdur. Ale właśnie moment chwilowego triumfu sił ciemności jest znakiem dla nas, byśmy oczekiwali już rychłego zmartwychwstania nieśmiertelnego Ciała Kościoła. Talmud mówił, że Mesjasz przyjdzie do pokolenia, które będzie całkowicie sprawiedliwe albo do pozbawionego jakiegokolwiek zasługi. Czas odkupienia był przewidywany w takim momencie historii, gdy Izrael będzie na skraju zupełnego rozkładu moralnego i martwoty życia duchowego. Gdy wszystko będzie wskazywało na klęskę, nagle okaże się zwycięstwem. Liturgia porównuje przyprowadzenie Jezusa przed Piłata z podchodzeniem Syna Człowieczego do tronu Przedwiecznego Ojca. Wydaje się, że ta sama chwila, która wydawała się triumfem szatana, jest również tą samą, w której Synowi Człowieczemu zostaną oddane panowanie i władza, chwała i narody, i języki.

Ci, którzy przebili Mu serce, będą przebici Jego widokiem triumfu. On jest pierworodnym umarłych, czyli pierwszym, który przez śmierć przeszedł jak przez nowe narodziny. Skoro tak, to dla całego chrześcijaństwa uśmiercenie Go przez światowe potęgi będzie pierwszym krokiem do powstania z jeszcze większą siłą i niezwykłą mocą. Umarły będzie tylko ten, dla którego Bóg umarł.

Opr. H.L.



ZA WIARĘ I OJCZYZNĘ.

Cz. II



Wspominając bohaterów Powstania Styczniowego, którego 150 rocznicę obchodzimy a także przeżywamy Rok Wiary nie można pominąć udziału w nim młodego gimnazjalisty Zygmunta Gorazdowskiego, przyszłego kapłana z sanockim rodowodem, który pragnął być „wszystkim dla wszystkich” i to pragnienie osiągnął ale droga na wyżyny świętości nie była dla niego łatwą. Zygmunt w swoim krótkim, urzędowym „życiorysie” z 1899 r. w dwóch lapidarnych zdaniach zawarł informację dotyczącą jego lat dziecięcych i młodości. Napisał: Urodziłem się w Sanoku 1 listopada 1845 r. i uczęszczałem do szkół ludowych i gimnazjalnych w Przemyślu. Po maturze przybyłem do Lwowa, aby uczęszczać na Wydział Prawniczy w roku 1864 – tutaj jednak poczułem powołanie do stanu duchownego i wstąpiłem w roku 1865 do Seminarium”. Dwadzieścia lat kryjących się w tym zapisie to również niezwykle bogaty czas młodzieńczego dorastania przyszłego Świętego do wyznaczonych mu przez Boga zadań i obowiązków. W latach 1863-64 w sposób wyjątkowy ze szczególnym nasileniem dała o sobie znać u młodego Zygmunta nabyta w dzieciństwie choroba płuc, której nabawił się w czasie rzezi galicyjskiej. Cudownie ocalony przez niankę od śmierci często chorował i opuszczał lekcje w szkole. Był to bowiem dla przyszłego Apostoła Bożego Miłosierdzia

czas szczególnego dojrzewania do udziału w Ewangelii cierpienia. Dokonywał się on w klimacie rozwijającego się wciąż patriotyzmu i w duchu wielkiej solidarności z pragnącymi wyzwolenia rozdartej rozbiorami Ojczyzny. Zaszczepione mu w domu rodzinnym umiłowanie ojczyznoznawstwa i ból z racji porzobiorowej niewoli oraz przykład czynnego zaangażowania ojca Feliksa Gorazdowskiego na rzecz sprawy narodowej, były dla niego najlepszymi wykładami o patriotyzmie i sposobie niesienia pomocy pozbawionej wolności Ojczyźnie. Kiedy więc wybuchło Powstanie Styczniowe, syn tego, który „budził i podtrzymywał ducha narodowego”, uciekł po kryjomu nocą z domu, by przedostać się do oddziałów powstańczych. Jeden z jego biografów tak pisze o tym wydarzeniu: „Jako uczeń VII klasy Gimnazjum bierze Zygmunt udział w powstaniu 1863 roku, dokąd uciekł z domu rodziców w nocy, nic nikomu nie mówiąc o zamiśle”. Nie bez powodu zatem krewna znająca osobiście przyszłego „Księdza dziadów” mówiła, że był „człowiekiem energicznym, taka rogata dusza”. Zygmunt dobrze wiedział, że stan jego zdrowia będzie dyktował rodzicom konieczność zatrzymania syna w domu i niewątpliwie otrzyma od nich zakaz bezpośredniego włączenia się w walkę narodowo-wyzwoleńczą. Jednak wszczepiona Zygmuntowi w środowisku rodzinnym wielka cnota patriotyzmu, nie pozwoliła mu pozostać biernym. Obligowała go natomiast do dokonania trudnego wyboru między miłością do rodziców i wyzwaniem umiłowanej Ojczyzny. Zachowany malowniczy opis przeżyć młodego Zygmunta jako powstańca, pozwala poznać nieco lepiej obraz jego serca rozkochanego w Bogu i Ojczyźnie. W opisie czytamy: „Wśród kniei lesistej, rozłożył się taborem oddział powstańczy. Nie ma tam między nimi zwykłej gwary żołnierskiej, nie ma tam śpiewów hulaszczycy ni pijatyki, ale na twarzach wszystkich spokój i jakaś zaciekła determinacja: zginąć albo zwyciężyć. Na uboczu ksiądz usiadł na powalonym pniu i słucha spowiedzi. - U stóp jego ukląkł młody o kruczycy włosach wyrostek, w oczach smętny ogień, ożywiający nikłą jego postać. Chwila zupełnej ciszy, przerywanej szeptem młodzieńca, otwierającego swą duszę przed spowiednikiem.

Zajaśniało oblicze kapelana, ucieszył się, że tak czyste serce spieszy w obronie Ojczyzny, bo taką ofiarę Bóg przecież przyjąć musi i modłów wysłuchać. Synu! Jeżeli wytkniesz sobie drogę, a prostą, to i do Królestwa niebieskiego dojdiesz. -Życie twoje czyste i nieskalane. - Postanowiłeś ofiarować swą młodą krew na Ołtarzu Ojczyzny – idź i walcz – a da Bóg, że i życie z tej walki uniesiesz i żyć będziesz dla dobra społeczeństwa i narodu”.

Trudno komentować powyższy przekaz jakże wymownie przedstawiający wewnętrzne bogactwo tego dorastającego wówczas kandydata na ołtarze. Tymczasem, zgodnie z przewidywaniami, wątłe zdrowie Zygmunta i nabyta w dzieciństwie choroba płuc sprawiły, że dostał on silnego krwotoku i jakiś czas musiał pozostać na leczeniu, znajdując schronienie w leśniczówce. Nieco podleczony zdołał jednak jeszcze wziąć czynny udział w walce powstańczej. Samo włączenie się młodego, niespełna 18-letniego gimnazjalisty w zryw powstańczy i jego czynny udział w walce narodowo-wyzwoleńczej były niewątpliwie wymownym znakiem jego niezwykle szlachetnych, patriotycznych i religijnych uczuć. Opis poniewierki, na jaką narażeni byli powstańcy, ukazuje go jako człowieka zdolnego podjąć wielki trud, ryzyko, a nawet ponieść śmierć w imię duchowej wspólnoty z własnym krajem i narodem. Oto w innym jeszcze opisie dotyczącym udziału Zygmunta w Powstaniu Styczniowym czytamy: „W 1863 roku wątłe, drobne chłopię – Zygmunt Gorazdowski, student wówczas gimnazjalny, gdy zerwał się odruch polski przeciw niewoli, natychmiast pospieszył w szeregi powstańcze. Zostawił obywatelski dom wygodny rodzicielski i książki – i nocą ruszył w szeregi. Niepomny, że wątłe dłonie nie dźwigną karabinu, pospieszył z garstką zapaleńców, by walczyć dla Ojczyzny. Kto zna gehennę męczeństwa tej drobnej szlachetnej garstki, która porwała się na olbrzyma ciemność, kto zna mękę, poniewierkę, na jaką narażeni byli powstańcy, gdy o głodzie i o chłódzie, na wpół odziani, jak zwierzęta musieli się chronić po lasach u kniejach, tropieni przez siepaków austriackich i rosyjskich, kto przerobił tę całą gehennę duszy polskiej, ten pojmie i zrozumie, ile wycierpiała ta szlachetna drużyna, która zmanifestowała Europie: żyjemy, nie uśmierciliście nas, duch polski czuwał!

Żołnierska poniewierka nadszarpnęła wątki organizmu młodego gimnazjalisty – Zygmunta. Gdy nadto wysiłki szlachetnej garstki skąpał kaci – zaborcy w krwi, gdy zapełniły się więzienia polityczne – cios to był straszny dla młodego entuzjasty Gorazdowskiego”.

Chociaż Powstanie Styczniowe wybuchło na terenie zaboru rosyjskiego, gdzie ze szczególną siłą Polacy poddawani byli rusyfikacji i laicyzacji, biorący udział w Powstaniu właśnie dzięki zaszczerpionej wierze katolickiej potrafili przetrwać niejednokrotnie w sposób heroiczny nie tylko trudy walki. Również po upadku Powstania, tragedia klęski i represje, które także dla młodego Zygmunta były duchowym „straszny cios”, były możliwe do zniesienia jedynie w oparciu o zakorzenioną od dzieciństwa wiarę w Boga. Jakże mocno w klimat ówczesnych jego przeżyć pozwala wejść ten choćby fragment zachowanego przekazu, w którym czytamy: „Minęły dni walk krwawych i szlachetnych popędów. Minęły, pozostawiając tysiące kurhanów i Sybir. Mimo katuszy i pastwienia się, mimo nahajek i katorg, nadzieja przyszłej lepszej doli nie zamarała w piersiach bohaterów roku 1863. Unieśli ze sobą ten ogień ożywczy i ci, co na szafot szli, w Sybir poszli i ci, co z rąk wrogów pod rodziną strzechę zbiegli. Między tymi ostatnimi był i nasz młodzieniec. Wrócił z rozdartym sercem, niejedną łzę roniąc z powodu niespełnionych marzeń, bo dusza jego pragnęła widzieć wszystko dookoła siebie szczęśliwe. Słowa spowiednika: Synu! Jeżeli wytkniesz sobie drogę, a prostą, to i do Królestwa niebieskiego dojdiesz; brzmiały mu ustawicznie w uszach. Wszak obrał drogę prostą i to najpiękniejszą – wszak pragnął zginać, rzucał się w największy wir walki, byle tylko u Boga na niebo, u potomności na dobre wspomnienie zasłużyć. Dlaczegoż Bóg nie przyjął ofiary? Bo trudniej żyć dla Ojczyzny, niż umrzeć dla niej – odpowiedziało sumienie”. Abstrahując od ocen samego Powstania Styczniowego, trudno nie stwierdzić, że w młodzińcych przeżyciach Zygmunta, tak jak i u wielu podobnych mu młodych powstańców, klęska i upadek styczniowego zrywu Polaków były bolesną próbą i nową, niełatwą szkołą umiejętnego znoszenia porażek i niepowodzeń.

Nie tylko w samym odczytaniu powołania do kapłańskiej służby, ale również w okresie seminaryjnego przygotowania do niej, cierpienie i choroba były dla alumna Z. Gorazdowskiego wyznacznikami specyficznej drogi dorastania do udziału w Chrystusowym posłannictwie. Przez cały okres studiów seminaryjnych chorował. Zdarzały się nawet przerwy w kontynuowaniu nauki i terminowych zaliczeniach egzaminów. Tak, więc trudna była jego droga dojrzewania do udziału w Chrystusowym kapłaństwie. W bólu i cierpieniu dorastał do zadań sługi Ołtarza, by potem przez całe życie (prawie 40 lat) odczuwać niezgłębioną obecność Chrystusa konającego w kapłańskich dłoniach. „Chociaż był słabego zdrowia – powiedział o nim Jan Paweł II we Lwowie 26 czerwca 2001 roku w czasie Mszy św. beatyfikacyjnej - powodowany niezwykłą miłością bliźniego, poświęcał się nieustannie służbie ubogim. Postać młodego kapłana, który nie bacząc na poważne niebezpieczeństwo zarażenia opiekował się chorymi w Wojniłowie i własnymi rękoma opatrywał ciała zmarłych na cholere, pozostała w pamięci współczesnych jako żywe świadectwo miłosiernej miłości Zbawiciela. Żarliwe umiłowanie Ewangelii kazało mu być obecnym w szkołach, podejmować przedsięwzięcia wydawnicze i różne inicjatywy katechetyczne, zwłaszcza z myślą o młodzieży. Świadectwem autentyczności jego apostołstwa była nieustanna działalność charytatywna. W pamięci lwowskich wiernych pozostaje on jako „Ojciec ubogich” i „Ksiądz bezdomnych”. Okazywał w tej dziedzinie prawie niewyczerpaną pomysłowość i ofiarność. Jako sekretarz „Instytutu Ubogich Chrześcijan” był obecny wszędzie tam, gdzie rozlegał się krzyk ludzkiego cierpienia, na który starał się odpowiadać tworząc liczne dzieła charytatywne. Po jego śmierci uznano, że był „prawdziwym zakonnikiem, choć nie złożył specjalnych ślubów”, a ze względu na swą całkowitą wierność Chrystusowi ubogiemu, czystemu i posłusznemu pozostaje dla wszystkich szczególnie wiarygodnym świadkiem Bożego Miłosierdzia.

Halina Martowicz

Literatura:

s. Dolores Danuta Siuta CSSJ – Apostoł Bożego Miłosierdzia. św. Ks. Zygmunt Gorazdowski

Pustynia:

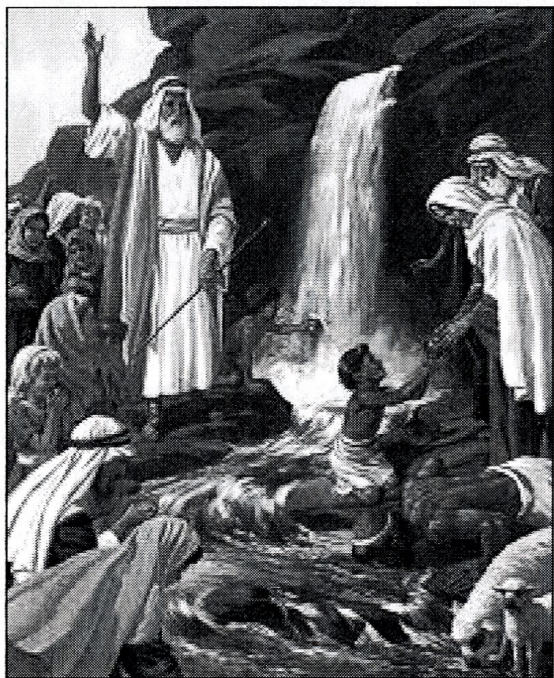
Woda ze skały;

Wąż na palu



Pustynia to miejsce szczególne – miejsce próby, trudnych doświadczeń ale i miejsce spotkania z Bogiem, doświadczenie Jego Obecności i opieki. Tak i dla Izraelitów pobyt na pustyni nie był jedynie przejściem przez nieprzyjazny obszar i zmaganiem się z niedogodnościami, lecz przede wszystkim doświadczeniem obecności Boga, który na różny sposób dawał się poznać swojemu ludowi i poddawał go próbom, które miały na celu uświadomienie Izraelitom, że Bóg naprawdę się o nich troszczy. Oznaki ich niezadowolenia wskazują, że czasami w to wątpili. Tak było po przejściu przez Morze Czerwone. Szybko zapomnieli o cudach, które Bóg dokonał na ich oczach w Egipcie, na Morzu Czerwonym... Kiedy wyszli z pustyni Sin co oznacza – „Próba”, przybyli do pustyni Refidim – „Zdrowy sąd” pragnęli wody, zaczęli więc szemrać przeciw Mojżeszowi. Bóg jako dobry, prawdziwy wychowawca karci występki, poprawia błędy i poleca Mojżeszowi, żeby wziął laskę a uderzywszy w skałę wyprowadził im wodę. Chce żeby pili już ze skały, pragnie by poczynili postępy i dotarli do głębszych tajemnic. Pismo podaje, że „szemrali przeciwko Mojżeszowi”, dlatego Bóg poleca Mojżeszowi, aby On wskazał im skałę z której mają pić.

Nie można zatrzymać się na Prawie Mojżesza - Stary Testament, trzeba sięgnąć po Nowy Testament. Skałą według św. Pawła jest sam Jezus Chrystus. Uderzony, ukrzyżowany tryska życiodajnym Źródłem. Z Jego przebitego boku wypłynęła krew i woda – źródle Bożego Miłosierdzia. Zanurzeni wraz z Chrystusem w życiodajnych wodach chrztu świętego otrzymujemy łaskę uświęcającą, a następnie odnawiamy ją każdorazowo w sakramencie pokuty w źródłach Bożego Miłosierdzia. Zanim jednak Mojżesz uderzył w skałę Bóg polecił mu wziąć ze sobą „starszych” to znaczy, że nie tylko Mojżesz-Prawo Starego Testamentu, ale i patriarchowie, prorocy, i wszyscy starsi tzn. Prezbiterzy prowadzą lud do Nowego Testamentu ku Chrystusowi.



Wąż na palu – pustynia to siedlisko płazów, jadowitych węży. Natrafienie na duże zbiorowisko węży Izraelici potraktowali jako karę Bożą za ich szemranie, dlatego w obliczu śmierci, wielu spośród nich, prosili Mojżesza aby wstawił się za nimi do Boga i błagał o ocalenie. Bóg dał Mojżeszowi polecenie, aby zrobił podobiznę węża z miedzi i umieścił go na wysokim drewnianym palu. O miedź nie było trudno, gdyż na tym terenie istniały starożytne kopalnie miedzi. Sporządził więc Mojżesz węża miedzianego i umieścił go na drewnianym palu tak, aby każdy ukąszony mógł go zobaczyć. Bóg rzekł: „Jeśli ktoś zostanie ukąszony, a spojrzy na niego, uniknie śmierci”. W geście spojrzenia wyraża się wiara, wyraża się współpraca z łaską, jak mówi psalmista: wznoszę swe oczy ku górze skąd nadejdzie

mi pomoc, pomoc mają od Pana. Widzimy i przekonujemy się kolejny raz w naszych rozważaniach, że Bóg szanuje wolną wolę człowieka: „jeśli chcesz”, „jeśli ukąszony spojrzysz, uniknie śmierci”, „jeśli uwierzysz, osiągniesz życie wieczne”. Według Ewangelii Jana 3,14 wąż jest symbolem i zapowiedzią powieszenia na drzewie krzyża Syna Człowieczego - Jezusa Chrystusa. Każdy kto w Niego uwierzy dostąpi zbawienia. Sam Jezus przygotowując uczniów na swoją śmierć powiada: a Ja gdy zostanę podwyższony nad ziemią, przyciągnę wszystkich do siebie. Miał na myśli swoją śmierć i zmartwychwstanie. Kolejny obraz, który nasuwa się podczas tego rozważania to wąż kusiciel, który na drzewie rajskim zwyciężył Adama; na drzewie krzyża został pokonany przez Jezusa Chrystusa. Jak w Adamie wszyscy umieramy tak w Jezusie Chrystusie dostępujemy zbawienia, otrzymujemy życie wieczne. A więc życie wieczne jest wynikiem osobistej więzi z Jezusem Chrystusem, opartej na darze zbawienia, słuchania Jego Słowa, na wierze w niego, spożywaniu Jego Ciała i Krwi, i przyjęciu od Niego wody żywej. Życie wieczne polega na poznaniu Boga i Jego Pośłańca. Źródłem życia wiecznego jest sam Bóg, którego wolą jest, aby każdy kto uwierzy w Jezusa „Syna Jego nie zginął, ale miał życie wieczne.

**Przeżywając Rok Wiary prosimy wraz z Apostołami:
Panie, przytnij nam wiary !**

s. Zofia



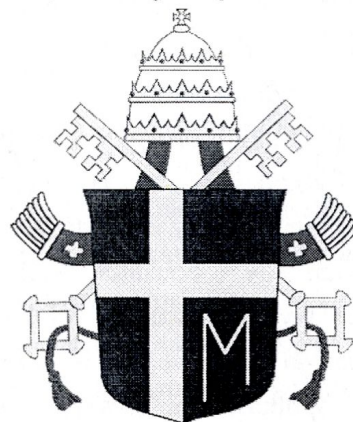
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony

Informacja o abdykacji Benedykta XVI dotarła do mnie na stokach Białki Tatrzańskiej. Trudno było nie zauważyć: mainstreamowe radio zainstalowane na stacjach wyciągów odmieniało słowo szok przez wszystkie formy i przypadki. Interesujące - pomyślałem - wszak kilka lat wcześniej to właśnie media głównego nurtu regularnie przypominały Janowi Pawłowi II, jaki już jest chory i słaby i jaką wspaniałą przysługę wyświadczyłby Kościołowi, odchodząc wreszcie na emeryturę. Szusujący po stokach narciarze i deskarze nie wyglądali jednak na zszokowanych, choć tego wieczoru Księżyc nad górami pokazał się nietypowo, jego cienki rogalik odwrócony szpikulcami w górę.

Następnego ranka zatelefonował kolega, obracający się w kręgach osób tak dobrze zarabiających, że prawdopodobnie wierzących we własną nieśmiertelność. „Przychodzą do mnie różni ateści z wyrazem triumfu...” zaczął. Interesujące, że w takich sytuacjach najbardziej intensywne zainteresowanie dalszymi losami Kościoła przejawiają ludzie, którym z Panem Bogiem jest na co dzień zdecydowanie nie po drodze. Skoro ateści, to właściwie co ich to obchodzi? Czy to złośliwa satysfakcja, czy głęboko skrywany wyrzut sumienia? A może jeszcze głębsza tęsknota za czymś, co jest pewne i niezmienne. W świecie, który z pogubienia i niestałości uczynił sztandar postępu, jednak tli się marzenie o domu zbudowanym na skale. I kiedy wydaje się, że skała się zachwiała, mściwa satysfakcja miesza się z nieokreślonym żalem.

Świat bowiem w gruncie rzeczy pragnie istnienia czegoś nienaruszalnego - pragnie tym bardziej, im chętniej sam naruszałby wszelkie normy i zasady, jakie można sobie wyobrazić. Świat stara się żyć, jakby Boga nie było - ale od tego, który „na trzech stoi koronach” oczekuje, aby reprezentował Boga, aby był Piotrem - skałą. Aby trwał na posterunku niewzruszenie i do samej śmierci, choć przecież tzw. zwykli obywatele uważają emeryturę za jedno z najświętszych swoich praw. Nieodpowiedzialni dziennikarze i inni niedojrzali dorośli, zachowują się jak małe dziecko, które odbiega coraz dalej od ojca, coraz bliżej ruchliwej ulicy albo bystrej rzeki, przekonane, że przecież tato gdzieś tam

jest i nie pozwoli, aby stała mu się krzywda. Można zrozumieć taką mentalność u przedszkolaka - ale dojrzały człowiek powinien chyba pojmować, że złamanie zasad i ograniczeń, które przekazał dziecku ojciec, może, czasami musi, skończyć się nieodwracalną katastrofą.



Jednak my, wierzący chrześcijanie, nie żyjemy tak, jakby Boga nie było. Jeśli szczerze wierzymy, że w Kościele działa Duch Święty, nie musimy się obawiać o jego losy. W tej kwestii możemy i powinniśmy ufać, co nie znaczy, że niepokój wobec niezwyklego wydarzenia, jakim jest abdykacja papieża, jest bezzasadny. Tyle, że źródłem tego niepokoju nie mają być pioruny i meteoryty, trzęsienia ziemi i dziwne znaki na niebie. Nie powinien on też dotyczyć poprzedniego czy nowego ojca świętego i Kościoła, a raczej kondycji nas samych, zanurzonych w tak zwanym świecie. Wiele osób, często w dobrej wierze porównuje postawę Jana Pawła II do decyzji Benedykta XVI. Wyrażają przy tym obawę o Kościół, którego tradycji bronił papież z Polski i papież z Niemiec. Obawiają się, kto przyjdzie teraz i czy nie ugnie się pod presją tzw. świata. Niepotrzebnie. Nie zostaliśmy porzuceni. Ale może trzeba, żebyśmy zostali przebudzeni. Postchrześcijańskie narody Europy i całego zachodniego świata jakoś dziwnie gładko łykają kolejne przejawy bezrozumnego ataku na naturę człowieka, prowadzonego pod hasłami walki o prawa tegoż człowieka i o „prawa natury”. Może byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie fakt, że w przeciwieństwie do Boga, natura nie wybacza nigdy łamania jej reguł. Inaczej niż „suwerenne” narody demokratyczne, którym nie wolno nawet zarządzić referendum we własnym kraju, papież jest suwerenny faktycznie. Przyjmijmy z pokorą jego decyzję. Dla tych którzy wierzą, że reprezentuje on Chrystusa na ziemi, jest to sprawa oczywista, co więcej, suwerenność ojca świętego jest dodatkowym źródłem nadziei.

Media utrzymują się z podkreślenia atmosfery i szukania sensacji - tak już pewnie musi być. Ale my nie musimy wszystkiego słuchać. Powinniśmy za to na modlitwie prosić Ducha Świętego o właściwą interwencję. Modlitwa w tej intencji będzie miała znaczenie - i miejmy nadzieję, że kiedyś, po tamtej stronie, dowiemy się, jak wielkie. Mamy ostatecznie takich pasterzy, o jakich prosimy. I zaufajmy Duchowi - wszak nawet w czysto ludzkim wymiarze nie możemy mieć do Niego pretensji - wiek XX i początek XXI są właściwie bez wyjątku czasem Wielkich Papieży. Benedykt XVI nie jest tu wyjątkiem. Gdzieś spotkałem interesujące porównanie, że papież Polak i papież Niemiec udzielili różnych odpowiedzi na to samo w gruncie rzeczy pytanie, pytanie, co jest najlepsze dla Kościoła. Jan Paweł wybrał krzyż na oczach świata - i nawet ci, którzy domagali się jego ustąpienia musieli zamilknąć na chwilę, tak wielką siłę miało to ostateczne świadectwo. Benedykt ponad słowiańskim bohaterstwem postawił germański porządek, troskę o kondycję całego Kościoła uznał za ważniejszą niż jego osobistą historię. To nie musi znaczyć, że jego krzyż był, albo będzie w przyszłości lżejszy. Bardzo ciekawe zresztą jest właśnie porównanie dwu ostatnich papieży do krzyża. Jan Paweł, jak pozioma belka, starał się ramionami objąć cały świat. Benedykt, jak belka pionowa, wskazywał zawsze w górę, na Chrystusa. Nie wiem, czy w chwili, kiedy czytają Państwo te słowa, mamy już, czy nie mamy jeszcze nowego ojca świętego. Ale jedno jestem pewien - mamy nadal ten sam Kościół, nowy i stary zarazem, którego bramy piekielne nie przemogą. Który dotrwa do końca czasów, skromny i dumny jednocześnie. Bo to nie Kościół jest zagrożony przez świat. To świat jest śmiertelnie zagrożony z tego powodu, że odsuwa się od Kościoła. Kościół jest światłem jedyne ogniska, wokół którego może bezpiecznie gromadzić się owczarnia. A na zewnątrz, w ciemnościach, krążą głodne wilki. „Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć.” (1P 5,8)

Zmiana na watykańskim tronie, zwłaszcza odbywająca się w tak niecodzienny sposób, daje pole do snucia hipotez i przypominania przepowiedni o mającym nadejść końcu świata, a przynajmniej końcu papie-

stwa. Przy okazji informacji o kolejnym niezwykle zjawisku zaobserwowanym na niebie trafiłem na interesujący dialog, który pozwolę sobie przytoczyć:

„- Proszę Brata, czytał Brat te wszystkie przepowiednie o bliskim końcu świata, o tym co się stanie niedługo, o katastrofach, o Papieżu itd. ?

- W czym mogę pomóc ?

- Zadałam Bratu pytanie!

- Widziałem, czytałem..

- I co się bratu nasuwa ? (...)

- Pytanie mi się nasuwa !

- Jakie ?

- Kiedy Pani była ostatnio do spowiedzi ?

- A co to Brata obchodzi, mam swoje zdanie na temat spowiedzi !

- Widzi Pani czym się różnimy.

- Czym ?

- Tym, że ja staram się wciąż być przygotowanym na ostatnie spotkanie z Panem ...”



I to jest właściwie jedyna sensowna odpowiedź na nasze niepokoje. Niepokoisz się - idź do spowiedzi. I namów do tego jak najwięcej krewnych i przyjaciół. Szczególnie teraz, w okresie Wielkiego Postu, który jest najlepszym czasem nawrócenia, ale nie zapominajmy o regularnej spowiedzi przez cały rok. Mam dziwne przeczucie, że choćbyśmy widzieli oczywiste znaki powtórnego przyjścia Pana, to i tak ten dzień nas zaskoczy. Lepiej więc być stale spakowanym do drogi. „A to rozumieście: Gdyby gospodarz wiedział, o której porze nocy złodziej ma przyjść, na pewno by czuwał i nie pozwoliłby włamać się do swego domu. Dlatego i wy bądźcie gotowi, bo w chwili, której się nie domyślicie, Syn Człowieczy przyjdzie.” (Mt 24, 43-44)

Z wizytą w rezerwacie Sobień



Góry Słonne są swoistą bramą i przedsionkiem Bieszczadów oraz Pogórza Przemyskiego. Najpopularniejszą przyrodniczą perłą tych gór jest rezerwat Sobień, położony przy trasie Lesko - Załuż - Sanok, na gruntach wsi Manasterzec. Został założony w 1970 roku na powierzchni 5,43 ha, na terenie administrowanym przez Nadleśnictwo Lesko, Leśnictwo Manasterzec. Jest to rezerwat leśno-faunistyczny, gdzie podmiotem ochrony są zarówno unikatowe zbiorowiska roślinne, jak i rzadka fauna kserotermiczna, czyli ciepłolubne owady i inne stawonogi spotykane na nasłonecznionych stanowiskach. Wędrując ścieżką prowadzącą od parkingu do ruin średniowiecznego zamczyska, spotkamy wiele ciekawych roślin, w tym chronioną kalinę koralową i lilię złotogłów. Miejsce to daje także możliwość obserwacji i sfotografowania tojadu mołdawskiego, wiechowatego i dzióbatego. Tojady to rzadkie rośliny, zawierające silnie trujące substancje. Przed wiekami wykorzystywano je do uśmiercania konkurentów do tronu na zamkach i dworach. Smarowano sokiem z tej rośliny jedną część noża i przekrawano np. jabłko, a następnie zatrutą część podawano nieświadomej ofierze. Patrząc oczyma botanika znajdziemy na omawianej górze kilkanaście różnych siedlisk leśnych. Występują tu: lasy mieszane, nadrzeczne grądy, jodłowe bory oraz łągi, czyli

lasy narażone na okresowe podtapianie wodami z roztopów i występujących z brzegów rzek.

Sobieńskie wzgórze zamieszkuje wiele ciekawych gatunków ze świata bezkręgowców. Spotkamy tu unikatowe w skali polskiej fauny skąponogi, pierwotnie, roztocza i owady. Osobliwością jest tu piewik gałązkowiec - niewielka, euroazjatycka cykada, która wydaje głośne dźwięki. Pod koronami rozłożystych buków, wśród głazów i kamieni skrywa się największa osobliwość rezerwatu, żywa skamieniałość, relikwium epoki trzeciorzędu, pająk *Sirio carpathicus*. Ten prymitywny, dra pieżny przedstawiciel korsarzy od kilkudziesięciu milionów lat nie zmienił swojego wyglądu. Występuje tu również strojniś nadobny, ten niewielki pająk z czerwonym odwłokiem jest niezwykle rzadki w naszym kraju. Wpisano go do Polskiej Czerwonej Księgi. Ma bardzo dobry wzrok, dorównujący sprawnością wzrokowi człowieka. Prawdziwym klejnotem omawianego obszaru jest motyl niepylak *mnemozyna*, którego lot można obserwować na polanach i łąkach graniczących z lasami sobieńskimi. Występuje tu także paż żeglarz. Z płazów spotkamy salamandrę plamistą, traszkę grzebieniastą i górską oraz kumaka górskiego. W niżej położonych partiach góry można dostrzec rzekotkę drzewną i ropuchę szarą oraz kilka gatunków żab. Z gadów być może natrafimy na jaszczurkę żyworodną, padalca, czy zaskrońca. Z ptaków na uwagę zasługuje orlik krzykliwy, puszczyk uralski oraz spotykany nad Sanem bocian czarny.

Ruiny zamku znajdują się na szczycie góry o wysokości 451 m n.p.m. zajmując powierzchnię 0,27 ha. Należał on niegdyś do rodu Kmitów, którzy dzięki nadaniom królewskim z 1389 roku utworzyli ogromne latyfundium, zaliczane do największych w ówczesnej Polsce. Składało się ono z trzech kluczy: dubieckiego, dynowskiego i sobieńskiego. Klucz sobieński obejmował obszary położone w dolinie górnego Sanu. W połowie XVI wieku liczył 58 osad. Sobień lokowany był w 1415 roku. Kmitowie obrali sobie to obronne wzgórze za główny ośrodek do zarządzania swymi dobrami. Miał on bardzo duże znaczenie dla powstających tu szlaków do Lwowa i na Węgry.

Wzgórze zamkowe od północy i zachodu opływa potok Sobieńka. Od strony południowej zauważamy stromą skarpe, opadająca do Sanu. Wały z ostrokołem otaczały niegdyś zarówno podgrodzie jak i zamek, dodatkowym elementem obronnym była tu strażnica obserwacyjna umieszczona w zachodnim rogu. Zamek ten gościł króla Polski, Władysława Jagiełłę z świeżo poślubioną w Sanoku Elżbietą Grąnowską z Pilczy. W XVI wieku, po najeździe wojsk węgierskich zamek ten opuścili Kmitowie, przenosząc swoją siedzibę do Leska. Przez stulecia kamienne pozostałości średniowiecznej warowni niszczały. W XVII i XVIII w. były kryjówką beskidników, czyli leśnych zbójców.

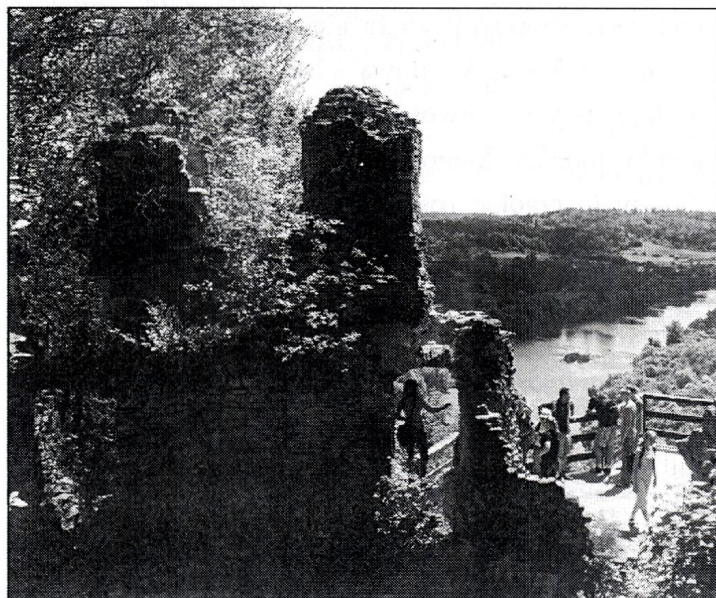


Omawiany obiekt jest cennym zabytkiem kultury narodowej i świadectwem ponad 600-letniej polskości tych ziem. Dlatego też pasjonaci i historycy z Sanoka założyli Społeczny Komitet „Przyjaciół Zamku Sobień”, który w przyszłości ma być przekształcony w stowarzyszenie na rzecz ratowania w/w obiektu. Wzgórze Sobieńskie kryje w sobie wiele tajemnic, na jego zachodnim krańcu znajduje się bunkier wchodzący w skład sowieckich umocnień sprzed 1941 roku, tzw. Linii Mołotowa. Jest to wysadzony, żelbetonowy schron bojowy. Ta budowla o dwóch kondygnacjach, zawierała w swoich izbach dział 45 mm oraz ckm i rkm. Zachowała się tu również część peryskopu. Na murach sobieńskiego zamku uważny obserwator dojrzy napisy w języku ukraińskim i rysunki przedstawiające tryzub- symbol Ukrainy. Ślady te pozostawiła ukrywająca się sotnia Ukraińskiej Powstańczej Armii, która w maju 1946 roku zaatakowała pociąg pancerny

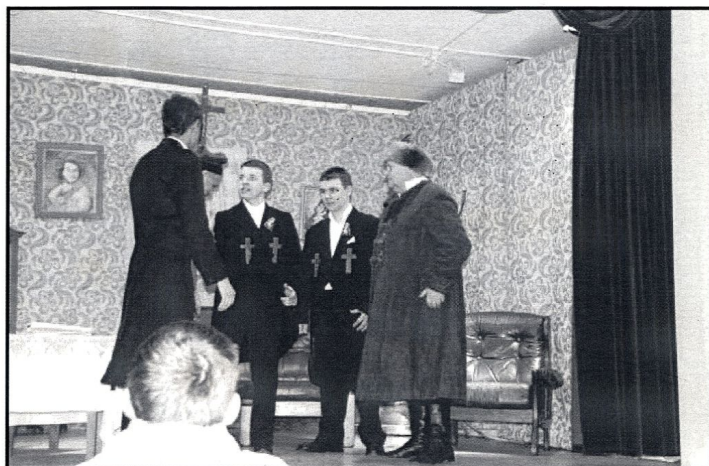
ochraniający szlak kolejowym Załuż- Ustjanowa – Olszanica.

Odkrywanie rezerwatu ułatwia odrestaurowana częściowo w ciągu ostatnich lat ścieżka dydaktyczna. Jej pierwszy przystanek opisuje zamek sobieński, kolejne znajdują się poza rezerwatem na stokach Gór Słonnych po drugiej stronie drogi. Gorąco polecam tę ścieżkę, ponieważ jest ona jedną z najpiękniejszych i najlepiej urządzonych w całych Bieszczadach i Górach Słonnych. Wykonali ją moi koledzy z Technikum Leśnego w Lesku w roku 1998. Stanowi ona skarbiec leśnej wiedzy umieszczonej nie tylko na tablicach, ale również w postaci wyeksponowanych walorów lasu: przepięknej alei modrzewiowej, dużego oczka wodnego do rozrodu płazów, platform widokowych na stokach o dużej ekspozycji z urokliwym krajobrazem przełomów leśnego strumienia w bukowym drzewostanie. Ten, kto choć raz w życiu trzymał pilarkę spalinową w dłoniach, doceni staranność, z jaką wykonano mosty, schody, drabinki oraz platformy widokowe na tej trasie. Omawiany odcinek z pewnością zachwyci każdego zwiedzającego ścieżkę o dowolnej porze roku. Tym, którzy chcieliby obejrzeć dodatkowo zniszczony sowiecki bunkier, proponuję inną ścieżkę prowadzącą od strony podgrodzia zlokalizowanego w południowo-zachodniej części wzgórza, bo choć jest stroma i trudniejsza, myślę, że warto się pokusić.

Piotr Kutia



TEATR DRAMATYCZNY Z KRZEMIENICY



Nasza Rodzina

Redakcja - Grupa Biblijna

Druk - „Chemigrafia” - Krosno

e-mail: naszarodzina@nspj-sanok.pl

Strona parafialna: www.nspj-sanok.pl

Parafia Rzymskokatolicka

p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa

38-500 Sanok ul. Lipińskiego 54

tel: 13 46 539 44

Wydarzenia parafialne - luty

